

Akutagawa
Ryūnosuke

Koła zębate

przełożyła Katarzyna Sonnenberg-Musiał



Państwowy
Instytut
Wydawniczy

HYOTTOKO

Przy balustradzie mostu Azumabashi zgromadził się tłum. Czasami dzielnicowy przychodził i strofował zebranych, którzy wówczas pierzchali, by po chwili zebrać się na nowo. Wszyscy gromadzili się i wystawiali na moście, żeby obserwować łodzie płynące poniżej.

W czasie odpływu łodzie z pasażerami, którzy wybrali się, by podziwiać rozkwitłe pąki, płynęły po jednej lub dwie w górę rzeki. W większości były to lichtugi z zadaniem wykonanym z grubego płótna i bokami przesłoniętymi dekoracyjną tkaniną w czerwone i białe pasy. U dziobów miały zawieszzone sztandary i proporce w dawnym stylu. Ludzie w łodziach wyglądali na mocno już upojonych alkoholem. Zza tkaniny widać było, jak niektórzy z takimi samymi ręcznikami przewiązanymi w stylu powszechnym w Yoshiwarze lub na sposób handlarzy ryżem grali w proste gry przy użyciu dłoni, krzycząc przy tym wniebogłosy. Inni śpiewali coś żałośnie, kiwając głowami.

Z perspektywy osób stojących na moście był to widok wielce komiczny. Ilekroć przepływały poniżej łodzie z muzykantami grającymi na instrumentach japońskich lub zachodnich, z mostu dobiegały głośnie wybuchy śmiechu. Czasem towarzyszyły im okrzyki: „Błazny!”.

Z mostu rzeka wyglądała jak tafla metalu, w której słońce odbijało się białym światłem. Czasami widać było, jak przepływające parowce zostawiały na niej lśniąca złocenia poprzecznych zmarszczek. Radosne dźwięki bębnów, fle-tów, shamisenu wgryzały się w gładką powierzchnię jak wwszy. Od miejsca, w którym kończył się ceglany budynek browaru Sapporo Beer, aż hen, poza nadbrzeże, ciągnęły się szarawo-białe plamy kwitnących właśnie wiśni. Przy pomoście Kototoi kołysały się zacumowane licznie łodzie w stylu japońskim i zachodnim. Hangar uniwersytecki tamował dopływ światła, więc wyglądały z oddali jak poruszający się pas brudnawej czerni.

W pewnej chwili pod mostem przepłynęła jeszcze jedna łódź – lichtuga podobna do tych wcześniejszych, pełna ludzi świętujących czas kwitnienia wiśni, osłonięta dekoracyjną tkaniną w czerwone i białe pasy, z przytwierdzonymi biało-czerwonymi proporcami. Dwóch lub trzech mężczyzn miało na głowach przewiązane ręczniki z wzorem czerwonej sakury i na zmianę odpychało łódź wiosłami i tykami. Mimo to łódź poruszała się wolno. Za zasłoną mogło znajdować się nawet pięćdziesięcioro pasażerów. Kiedy podpływali do mostu, słychać było pieśń *Wiosna w kwiatach śliwy* lub coś w tym rodzaju, graną przy akompaniamencie dwóch shamisenów. Za mostem jednak nastrój gwałtownie się zmienił i przy uderzeniach w gong rozbrzmiała świąteczna przyspiewka. Gapie raz jeszcze zaśmiali się gromko. Ściśnięte w tłumie dziecko zaczęło płakać.

– Zobaczcie! Tańczą na łodzi! – zawołała kobieta piskliwym głosem.

Pod proporcami na pokładzie niski mężczyzna z maską *hyottoko* wykonywał komiczne ruchy taneczne.

Hyottoko zrzucił z ramion niewyszukane jedwabne kimono, odsłaniając na piersi barwną bieliznę z cętkowanymi rękawami. Kołnierzyk z czarnego, grubego jedwabiu miał rozchełstany, a rozwiązany granatowy pas zwisał mu luźno z tyłu. Musiał już być mocno upojony alkoholem. Wykonywał dziwaczne ruchy – wyginał się i machał rękami raz po raz jak błazen w tańcu *kagura* podczas święta w chramie. W upojeniu tracił kontrolę nad własnym ciałem i chwilami wydawało się, że poruszał się gwałtownie po to, by odzyskać równowagę i nie wypaść za burtę.

Ten widok oczywiście wzbudził jeszcze większe poruszenie wśród zgromadzonych, którzy zaczęli wykrzykiwać głośne uwagi na temat tancerza:

- Zobaczcie tylko, jak się wygina!
- Chyba się dobrze bawi. Skąd on się w ogóle wziął?
- Co za dziwadło! O, zachwiał się!
- Lepiej, żeby tańczył na trzeźwo...

Zapewne działanie alkoholu sprawiło, że kroki *hyottoko* stawały się coraz mniej pewne. Jego głowa, przepasana ręcznikiem z wzorem sakury, zawiązanym pod brodą, chwiała się jak niepewny metronom i kilkakrotnie zdawała się chylić za burtę. Wiosłujących łodzią również musiał zaniepokoić ten widok, bo raz i drugi zawołali ostrzegawczo, ale *hyottoko* zdawał się ich nie słyszeć.

Nagle przepłynął obok parowiec, tworząc na powierzchni rzeki fale, które mocno zakołysały lichtugą. W tej samej chwili drobne ciało *hyottoko*, pewnie pod wpływem tej nowej siły, ruszyło chwiejnie do przodu trzy kroki i kiedy już wszyscy myśleli, że stanie w miejscu, zatoczyło koło, jak bączek, który nagle zatrzymano,

i niespodziewanie nogi mężczyzny w trykotowych nogawkach powędrowały w powietrze, a on sam upadł na plecy na dno lichtugi.

Gapie zebrani na moście raz jeszcze wybuchnęli gromkim śmiechem. W wyniku tego upadku w łodzi złamał się chyba gryf shamisenu. Zza dekoracyjnej tkaniny widać było, że upojeni alkoholem pasażerowie, którzy bawili się dotychczas w najlepsze, przejęci powstawali ze swoich miejsc. Świąteczna muzyka, którą słyhać było do tej pory, nagle ustała, jak gdyby muzykantom zabrakło tchu. Rozlegały się tylko podniesione głosy pasażerów. Na łodzi musiało powstać spore zamieszanie. Po chwili jeden z mężczyzn wysunął zarumienioną twarz zza zasłony i powiedział coś szybko do wiosłujących, gestykulując przy tym gorączkowo. Chwilę później lichtuga skierowała się nagle w kierunku przeciwnym do kwitnących wiśni – do przystani, tam, gdzie na brzegu pośród pagórków stały gospody.

Do gapiów na moście dziesięć minut później dotarła wiadomość o nagłej śmierci *hyottoko*. O szczegółach zdarzenia można było przeczytać następnego dnia w rubryce różnaitości jednej z gazet. Widniało tam nazwisko *hyottoko*: Yamamura Heikichi, i przyczyna śmierci: udar mózgu.

* * *

Yamamura Heikichi był, tak jak jego ojciec, sprzedawcą artykułów malarskich w Wakamatsuchō, w tokijskiej dzielnicy Nihonbashi. Zmarł w wieku czterdziestu pięciu lat, pozostawiając po sobie wychudzoną, piegowatą żonę i syna w wojsku. Nie był wprawdzie

szczególnie bogaty, ale zatrudniał dwóch czy trzech pomocników i powodziło mu się nie najgorzej. Ludzie mówią, że odniósł sukces, kiedy w czasie wojny sino-japońskiej wykupił niemal cały malachit z terenów Akity. Do tego czasu prowadził jedynie „sklep z tradycjami”, którego klientów można było policzyć na palcach jednej ręki.

Heikichi miał krągłą twarz, nieznaczną łysinę i niewielkie zmarszczki w kącikach oczu. Było w jego wyglądzie coś zabawnego. Był przy tym skromny i grzeczny. Jego jedyną rozrywkę stanowiło picie sake, a kiedy się upił, na ogół zachowywał się przyzwoicie. Miał wtedy jedynie osobliwy zwyczaj prezentowania komicznych tańców. Tłumaczył, że nabierał wprawy w tańczeniu w tym samym czasie, kiedy pani z rodu Toyoda w Hamamatsuchō uczyła się tańca *mikomai*, i że *kagura*¹ cieszyła się wtedy ogromną popularnością zarówno w Shinbashi, jak i w Yoshichō.

Jego tańce nie stanowiły, rzecz jasna, szczególnego powodu do dumy. Można by je złośliwie nazwać nieskładnymi. W najlepszym razie pozostawało dziękować, że przynajmniej nie zabierał się za bardziej wysmakowane układy jak „Kisen” w jednej ze sztuk *kabuki*. Co ciekawe, Heikichi był świadomy braku odpowiednich zdolności i na trzeźwo nigdy nie wspominał nawet o tańcach *kagura*.

– Panie Yamamura, może pan coś dla nas zatańczy! – proszono go nieraz, ale on zbywał podobne nalegania żartem. Wystarczyła jednak odrobina alkoholu, a natychmiast obwiązywał sobie głowę rękawnikiem, przykucał, wzruszał ramionami i, naśladując równocześnie dźwięki fletu i bębnów, prezentował taniec *hyottoko*.

Kiedy już zaczął tańczyć, zatracił się i nie mógł przestać. Nie dbał o to, czy ktokolwiek przygrywał mu na shamisenie lub przyśpiewywał.

Zdarzyło się, że w upojeniu tracił przytomność i padał, jak gdyby dostał ataku apopleksji. Raz w łaźni miejskiej runął na cementową podłogę, kiedy obmywał się po wyjściu z kąpieli. Uderzył się wówczas tylko w biodro i nie upłynęło dziesięć minut, jak odzyskał przytomność. Za drugim razem wyrzucił się w spiżarni w swoim domu. Wezwano lekarza i przywrócenie świadomości Heikichiemu trwało około pół godziny. Lekarz zabronił mu wtedy spożywać alkoholu. Chwalebna trzeźwość Yamamury nie trwała jednak długo. „Jeden przecież nie zaszkodzi” – mówił i stopniowo wypijał coraz więcej kieliszków. Nie minęły dwa tygodnie, a wrócił do stanu wyjściowego. Tylko że Heikichi nie przejmował się tym wcale, twierdząc niefrasobliwie: „Nie służy mi, kiedy nie piję”.

* * *

Za pićem Heikichiego kryło się jednak coś więcej niż tylko potrzeba fizjologiczna, którą deklarował. Jego psychika także domagała się alkoholu. Gdy wypił, czuł się swobodnie – znikало skrępowanie, jakie odczuwał przed ludźmi. Mógł tańczyć, kiedy tylko zechciał. Spać, kiedy miał na to ochotę. Nikt go nie potępiał i Heikichi był za to wdzięczny nade wszystko. Dlaczego tak było? Tego sam nie wiedział. Był świadomy, że pod wpływem alkoholu stawał się zupełnie inną osobą. Kiedy wytrzeźwiał, płonął wstydem, słysząc, jak inni mówili:

– Ależ się wczoraj wieczorem świetnie bawiłeś!

– Kiedy wypiję, tracę zupełnie kontrolę nad sobą. Dziś to, co wyprawiałem wczoraj, wydaje mi się nierealne – Heikichi kłamał jak z nut, bo doskonale pamiętał, że zeszłej nocy tańczył i zapadł w sen. Kiedy jednak porównywał siebie z tamtych chwil z sobą tu i teraz, wydawało mu się, że ma do czynienia z dwiema różnymi osobami. Która z nich to prawdziwy Heikichi? – tego nie wiedział. Pijany bywał tylko czasami, trzeźwy był zazwyczaj. Wydawać by się mogło zatem, że to w stanie trzeźwości był prawdziwym Heikichim, ale – co dziwne – nie był tego taki pewien.

Kiedy się nad tym zastanawiał, musiał uznać, że wszystkie nedorzecznosci zazwyczaj popełniał w upojeniu alkoholowym. Taneczne wygibasy nie były jeszcze najgorsze. Grał także w karty, płacił za towarzystwo kobiet i robił rzeczy, których nie sposób tu wymienić. Nie do pomyslenia było, żeby w takich momentach pozostawał przy zdrowych zmysłach. Bożek Janus miał podobno dwie twarze i nikt nie wie, która z nich była prawdziwa. Podobnie z Heikichim. Ten na co dzień różnił się od tego pod wpływem alkoholu.

Na co dzień trudno też byłoby znaleźć kogoś, kto bardziej kłamał niż Heikichi. Nie kłamał jednak dla jakichkolwiek korzyści. Zazwyczaj nie był nawet świadomy tego, że kłamie. Orientował się dopiero po fakcie, ale w chwili, gdy kłamał, nie miał czasu się zastanawiać nad konsekwencjami swojego działania. Sam nie wiedział, dlaczego właściwie kłamie. Wypowiadał kłamstwa impulsywnie, choć wcale tego nie planował. Nie było to jednak dla niego źródłem jakiejś szczególnej udręki. Nie uważał, że robi coś złego, więc kłamał zazwyczaj bez mrugnienia okiem.

Heikichi opowiadał, że w wieku jedenastu lat poszedł na praktyki do sklepu papierniczego w Minami Tenmachō. Tamtejszy właściciel był podobno fanatycznym wyznawcą buddyjskiej sekty Nichirena i bez trzykrotnego wypowiedzenia modlitewnej inwokacji nie zaczynał nawet posiłku. Tymczasem dwa miesiące po tym, jak pojawił się Heikichi, żona sklepikarza, powodowana nagłym pragnieniem, zbiegła razem z młodym pracownikiem, nie zabierając z domu niczego. Właściciel pewnie poczuł, że jego wiara żadną miarą nie zapewniła mu upragnionego rodzinnego spokoju, i z zagorzałego wyznawcy sekty Nichirena zmienił się w jednej chwili w wyznawcę Nowej Sekty Czystej Ziemi. Podniósł przy tym wielkie larum: wizerunek bóstwa Taishaku cisnął do rzeki, a obraz bodhisattwy Shichimena spalił w piecu.

Heikichi pozostał w sklepie papierniczym do ukończenia dwudziestego roku życia, manipulując nieraz księgami rachunkowymi, by wyłuskać pieniądze na rozrywki. Pamiętał, że w tym czasie wprawiła go w konsternację propozycja pewnej kobiety, z którą wszedł w intymną relację: chciała, by popełnili razem samobójstwo. Wymówił się wtedy i zażegnał kryzys, ale później dotarły do niego wieści o tym, że za trzy dni kobieta w istocie popełniła samobójstwo z rękodzielnikiem parującym się wyrobem ozdób z metalu. Mężczyzna, który był jej bliski, porzucił ją dla innej i chciała mu się odplacić, idąc na śmierć z pierwszym lepszym.

Kiedy Heikichi miał dwadzieścia lat, zmarł mu ojciec, młodzieniec zrezygnował więc z pracy w sklepie

i wrócił do domu. Nie minęły dwa tygodnie, a subiekt, który pracował dla nich za czasów ojca, poprosił młodego pracodawcę, żeby napisał w jego imieniu wiadomość: „Wszystko nam sprzyja. Będę wkrótce”. Pocziwina miał ponad pięćdziesiąt lat i niedawno zranił się w palec prawej ręki, tak że nie mógł utrzymać pióra. Heikichi napisał, jak go poproszono, a ponieważ adresatką wiadomości była kobieta, zaśmiał się uszczypliwie: „Popatrz tylko! Trzeba na ciebie uważać”. „To list do siostry” – padła odpowiedź.

Trzy dni później subiekt wyjechał, mówiąc, że udaje się z wizytą do stałych klientów. Nigdy już nie wrócił. Okazało się, że w księgach rachunkowych były poważne braki, a adresatką wiadomości była naprawdę kochanka subiekta. Pomyśleć tylko, że Heikichi skreślił tę wiadomość własną ręką. Ależ z niego głupiec...

Tylko że to wszystko kłamstwa. Jeśliby je odjąć z historii życia Heikichiego (tej, którą znali ludzie), nic by nie pozostało.

* * *

Kiedy Heikichi w pożyczonej od muzykantów masce *hyottoko* wspinał się na nadburcie, był, rzecz jasna, jak zwykle pod wpływem alkoholu. To, jak w czasie tańca wyrzucił się w łodzi i zmarł, zostało już opisane. Wydarzenie to wprawiło wszystkich na statku w osłupienie. Najbardziej zdumiony był nauczyciel ballad *kiyomoto*, na którego kolana Heikichi upadł. Jego ciało potoczyło się następnie na czerwony dywanik rozłożony na dnie łodzi, na którym leżały kawałeczki *sushi* i gotowane jajka.

– Wolne żarty! Przecież ktoś mógłby ucierpieć! – powiedział ze złością dzielnicowy przywódca ochotniczej straży pożarnej, myśląc, że Heikichi znowu się wygłupia. On jednak nawet nie drgnął.

Po chwili siedzący obok właściciel zakładu fryzjerskiego zaniepokoił się i położył rękę na ramieniu leżącego.

– Szanowny panie! Szanowny panie! Wszystko w porządku? – zawołał.

Odpowiedziało mu milczenie. Kiedy uściśnął czubki palców Heikichiego, poczuł, że są zimne. Wtedy razem z dzielnicowym przywódcą podniósł ciało mężczyzny. Wszyscy zebrani przyglądali się mu zaniepokojeni.

– Szanowny panie! Szanowny panie! Wszystko w porządku? – głos właściciela zakładu fryzjerskiego brzmiał teraz świdrująco. Nagle spod maski dobiegł jego uszu cichy głos, a może to był oddech:

– Maską... Zdejmij maskę...

Dzielnicowy przywódca i właściciel zakładu fryzjerskiego drżącymi rękami zdjęli ręcznik i maskę. Pod spodem nie było już jednak twarzy Heikichiego, którą znali. Skrzydełka nosa miał opadnięte, kolor ust zmieniony, oleiste krople potu spływały po pobladłym czole. Na pierwszy rzut oka nikt nie powiedziałby, że to ten ujmujący, zabawny, gadatliwy Heikichi. Niezmieniona pozostała jedynie maska *hyottoko* z wydętymi sztywno ustami, która pustym wzrokiem patrzyła z rozłożonego na dnie łodzi czerwonego dywanika w twarz Heikichiego.

(1915)